



Zane Grey

TAJEMNICZY JEŹDZIEC



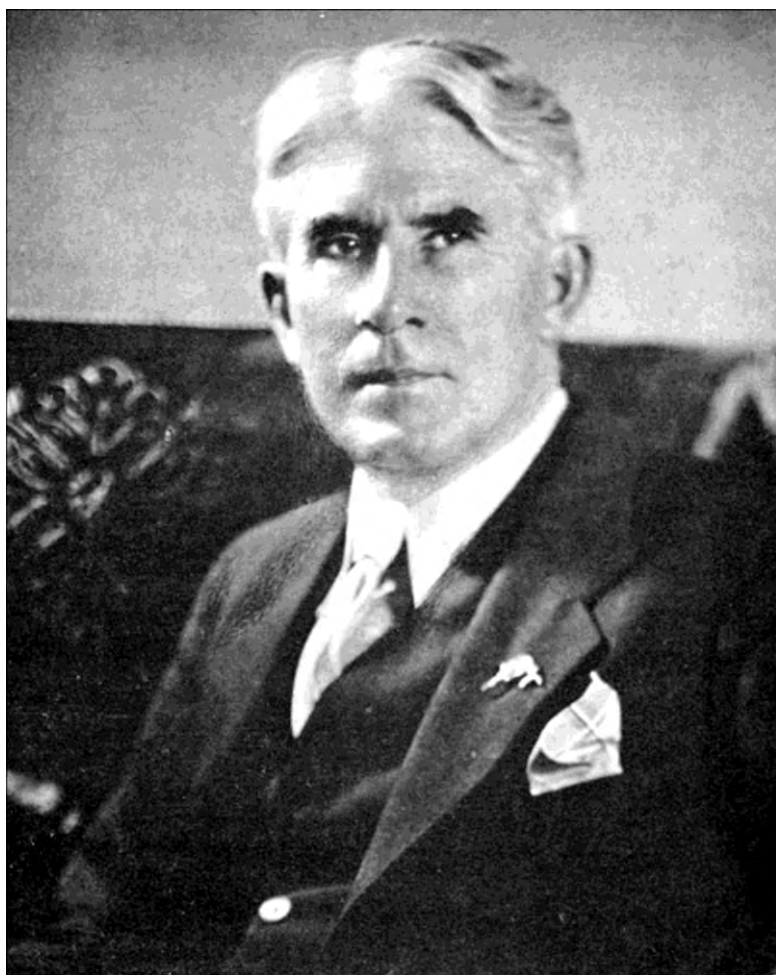
64

ISBN 978-83-67876-90-2

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Zane Grey

TAJEMNICZY JEŹDZIEC



Pearl Zane Grey urodził się 31 stycznia 1872 roku w Zanesville w stanie Ohio – w mieście, którego współzałożycielami byli jego przodkowie ze strony matki, a zmarł w Altadena, w Kalifornii, 23 października 1939 roku.

Był jednym z najpopularniejszych i najwyżej ocenianych autorów powieści o Dzikim Zachodzie, współtwórcą gatunku literackiego zwanego dziś westernem. Jego dorobek twórczy ocenia się na około 90 książek (głównie powieści), z których ponad dwie trzecie to westerny. Pozostawił po sobie wiele książek dla młodzieży, w tym biografię młodego Jerzego Waszyngtona, publikacje poświęcone swoim wielkim pasjom: bejsbolowi – w który grywał w czasie studiów, a później przez pewien czas półzawodowo – oraz wędkarstwu, a także liczne zbiory opowiadań.

Miłośnik dzieł J.F. Coopera i D. Defoe, a także zeszytowych powieści przygodowych, studiował stomatologię, ale głównie po to, by uzyskać stypendium sportowe. Praktykę dentystyczną porzucił potem na rzecz pisarstwa, podobnie imię Pearl. Debiutował wydaną w 1903 roku powieścią historyczno-przygodową *Betty Zane*, otwierającą trylogię o jego przodkach z początków Stanów Zjednoczonych. Wydał ją własnymi siłami po odrzuceniu przez wydawnictwo Harper & Brothers.

Przełom w jego twórczości nastąpił dopiero w 1912 roku, gdy to samo wydawnictwo opublikowało, nie bez oporów redaktora naczelnego, *Jęźdźców krainy purpurowej bylicy*. Powieść okazała się bestsellerem – po dziś dzień należy do najpopularniejszych dzieł Greya. Harper wydał też wcześniejsze jego książki, w tym *Ostatni mieszkaniec równin*, a kariera Greya nabrała niepokahowanego rozpędu. Dziś uchodzi za jednego z pierwszych amerykańskich pisarzy milionerów. Doceniono nie tylko umiejętność snucia fascynujących opowieści, ale i dbałość o realia, wiążącą się z jego częstymi podróżami w poszukiwaniu inspiracji.

Jego westerny doczekały się 46 pełnometrażowych ekranizacji i 31 krótszych. Nie był to jedyny związek Zane'a Greya z filmem. W roku 1919 powołał własną wytwórnię filmową. Sprzedana jakiś czas potem, stała się częścią podwalin wielkiego Paramountu.

W Polsce w latach międzywojennych i tuż po wojnie ukazało się w sumie kilkanaście przekładów powieści Zane'a Greya, głównie nakładem wydawnictwa M. Arct. W 1951 roku jego książki zostały objęte zapisem cenzury, nakazującym także niezwłoczne wycofanie ich z bibliotek. Powracać tam i do księgarni zaczęły dopiero w 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, i to niekoniecznie tych najciekawszych lub najlepszych.

Zane Grey



TAJEMNICZY JEŹDZIEC

Przełożyła i przypisami opatrzyła Joanna Hacking

**Sto sześćdziesiąta dziewiąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Sześćdziesiąty czwarty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
The Mysterious Rider

© Copyright for the Polish translation by Joanna Hacking, 2026

12 kolorowych kart tablicowych: Dariusz Kocurek

© Copyright for the cover and inside illustrations
by Dariusz Kocurek, 2026

Redaktor serii: Andrzej Zydoreczak

Redakcja: Andrzej Zydoreczak

Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2026

ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-67876-90-2

Rozdział I

rześniowe słońce, tracące nieco ze swego ciepła, jeśli nie blasku, chyliło się ku zachodowi, nad czarnym pasmem Kolorado¹. W zalesionych przesmykach zaczęła gęstnieć purpurowa mgielka. Szare pogórza, zaokrąglone i wybrzuszone, spływały w dół z wyższych partii. Były gładkie, rozległe, z długimi, aksamitnymi zboczami i pojedynczymi łatami osik², płonącymi jesiennym złotem. Plamy czerwonych winorośli barwiły delikatną szarość szaławii³. Old White Slides, góra poznaczona bliznami po lawinie, wznosiła się nad doliną ponurym skalistym szczytem, osłaniając ją od północy.

Wzdłuż zbocza jechała dziewczyna, obrzucając wzrokiem pasmo i kolor górskiej twierdzy, która była jej domem. Podążała starym szlakiem prowadzącym na urwisko z widokiem na odnogę doliny. Kiedyś było to jej miejsce do obserwacji, ale ostatnio go nie odwiedzała. Miało ono związek z ważnym okresem w jej życiu. To właśnie tutaj, siedem lat wcześniej, gdy miała lat dwanaście, dokonała trudnego wyboru, by zadowolić swego opiekuna – starego ranczera⁴, którego kochała i nazywała ojcem, i który rzeczywiście był dla niej jak ojciec. Decyzja dotyczyła pójścia do szkoły w Denver⁵. Cztery lata mieszkała z dala od ukochanych szarych wzgórz i czarnych gór. Tylko raz, od czasu swego powrotu, wspięła się tak wysoko i również ta okazyja została zapamiętana jako niefortunna godzina. Było to trzy lata temu. Dziś dziewczęce próby i smutki wydawały się już przeszłością;

¹ *Kolorado* (ang. Colorado) – stan w środkowozachodniej części USA.

² *Osika* (*Populus tremula*) – gatunek topoli.

³ *Szałwia* (*Salvia*) – rodzaj rośliny z rodziny jasnotowatych (wargowych); wieloletni półkrzew; liście szare, kwiaty niebiesko-fioletowe.

⁴ *Ranczer* (ang. rancher) – farmer, osoba prowadząca ranczo.

⁵ *Denver* – miasto w USA, przy ujściu rzeki Cherry Creek do Platte Południowej, u podnóża Gór Skalistych.

była dziewiętnastoletnią kobietą i stała twarzą w twarz z pierwszym wielkim problemem w swym życiu.

Szlak wiódł za urwiskiem, przez skupisko osik o białych pniach i żółtych szeleszczących liściach, i prowadził przez skarpe porośniętą bujną trawą i polnymi kwiatami do skalistej krawędzi.

Zsiadła z konia i odrzuciła uzdę¹. Jej mustang², przyzwyczajony do głaskania, otarł się o nią swym gładkim, ciemnym łbem, najwyraźniej oczekując w zamian pieszczot, ale ponieważ żadne nie nadeszły, pochylił pysk nad trawą i zaczął ją skubać. Oczy dziewczyny były skupione na falujących, smukłych, biało-niebieskich kwiatkach. Uśmiechały się słabo, jak blade gwiazdy, znad wysokiej trawy o odcieniu złota.

– *Columbines*³ – pomyślała tęsknie, zrywając kilka z nich i podnosząc je, aby spojrzeć na nie z zachwytem, jakby chciała dojrzeć w nich jakieś objawienie tajemnicy, która owiała jej narodziny i imię. Stała potem z rozmarzonym spojrzeniem utkwionym w odległe pasma. – *Columbine*...! Tak mnie nazwali – ci górnicy, którzy mnie znaleźli – dziecko – zagubione w lesie – śpiące wśród *columbines* – mówiła głośno, jakby dźwięk jej własnego głosu miał ją przekonać.

Tyle z tej tajemnicy zostało odkryte owego dnia przez mężczyznę, którego od zawsze nazywała ojcem. W niejasny sposób zawsze była świadoma istnienia jakiejś tajemnicy, czegoś dziwnego o jej dzieciństwie, jakiegoś związku, nigdy niewyjaśnionego.

– Żadnego innego imienia poza *Columbine* – szepnęła ze smutkiem i teraz zrozumiała dziwną tęsknotę swego serca.

Zaledwie godzinę temu, zbiegając z szerokiej werandy domu na ranczu White Slides, natknęła się na mężczyznę, który opiekował się nią przez całe jej życie. Spojrzał na nią równie życzliwie i po ojcowsku jak dawniej, choć z pewną różnicą. Rozpoznawała w nim starego

¹ *Uzda* – ogłowie, element uprzęży lub rzędu końskiego nakładany na głowę konia.

² *Mustang* – dziczyły koń z prairii Ameryki Północnej.

³ *Colorado blue columbine* (ang.) – *Aquilegia coerulea*, orlik błękitny z Kolorado, gatunek rośliny kwitnącej z rodziny jaskrowatych *Ranunculaceae*, pochodzącej z Gór Skalistych w USA; jest kwiatem stanu Kolorado; łacińska nazwa gatunkowa *coerulea* oznacza „błękit nieba”.

Billa Bellloundsa, pioniera¹, osadnika i ranczera, o potężnej budowie ciała i szerokiej twarzy, twardej, surowej, pokrytej bliznami, posiwiałej głowie, o dużych oczach emanujących błękitnym ogniem.

– Collie – odezwał się starzec. – Mam wieści. List od Jacka... Wracca do domu.

Belllounds zamachał listem. Jego wielka dłoń zadrżała, gdy kładł ją na jej ramieniu. Jego twardość dziwnie zmiękła. Jack był jego synem. Buster² Jack, jak go zwano, używając również innych, mniej życliwych określeń, które nigdy nie dotarły do uszu jego ojca. Jack został odesłany trzy lata temu, tuż przed powrotem Columbine ze szkoły. Z tego powodu nie widziała go od ponad siedmiu lat. Ale pamiętała go dobrze – wysokiego, smukłego chłopca, przystojnego i nadpobudliwego, przez którego jej dzieciństwo było prawie nie do zniesienia.

– Tak... mój syn... Jack... wraca do domu – powiedział Belllounds łamiącym się głosem. – I, Collie, muszę ci coś teraz powiedzieć.

– Tak, tato – odpowiedziała, czując silny uścisk jego ciężkiej dłoni na swym ramieniu.

– Właśnie o to chodzi, dziewczyno. Nie jestem twoim tatą. Próbowiałem nim być i kochałem cię jak własne dziecko. Ale nie łączą nas więzy krwi. I teraz muszę ci to powiedzieć.

Potem nastąpiła krótka opowieść. Siedemnaście lat temu górniczy pracujący na górniczej działce Bellloundsa, w górach nad Middle Park³ znaleźli dziecko śpiące na szlaku wśród *columbines*. W pobliżu tego miejsca Indianie, prawdopodobnie Arapaho⁴, przeprawiając się przez góry, by zaatakować Ute⁵, schwytali lub zabili pasażerów

¹ *Pionier* – osadnik zagospodarowujący nowe tereny.

² *Buster* (ang.) – kolega, koleś, kumpel, brachu, frajer. *Bust* – rozbić, rozwalić.

³ *Middle Park* (Colorado basin) – dolina w Górach Skalistych w północno-środkowej części Kolorado w Stanach Zjednoczonych.

⁴ *Arapaho* – plemię indiańskie, które w przeszłości zamieszkiwało równiny Kolorado, Wyoming, Nebraska i Kansas w Stanach Zjednoczonych; należeli do grupy Anglokinów (wyodrębnionego wg kryterium językowego zespołu ok. 100 plemion Indian Ameryki Północnej, mówiącego ongiś ponad 30 językami) i są blisko spokrewnieni z plemieniem Czejenów; Arapaho byli głównie myśliwymi i zbieraczami, dla których bizona był głównym źródłem pożywienia, odzieży i innych niezbędnych rzeczy.

⁵ *Ute* – rdzenni Amerykanie obecnych stanów Kolorado, Utah i Nowy Meksyk w Stanach Zjednoczonych; należą do rodziny języków uto-azteckich i mają bogate dziedzictwo kulturowe i historyczne.

szkunera preriowego¹. Innej wskazówki nie było. Górnicy zabrali dziecko do swego obozu, nakarmili je i zaopiekowali się nim, a następnie zgodnie ze swym zwyczajem, nadali mu imię Columbine, a potem przywieźli je do Bellloundsa.

– Collie – rzekł stary ranczer. – nie trzeba by było nigdy o tym opowiadać, i nie zostałyby to powiedziane, gdyby nie jeden powód. Starzeję się. Uważam, że nigdy nie podzieliłbym mojej posiadłości między ciebie i Jacka. Mam więc na myśli to, że ty i on powinniście się pobrać. Zawsze przyhamowywałaś Jacka. Mając zatem taką żonę jak ty... No, może Jack...

– Tato! – wybuchnęła Columbine. – Poślubić Jacka...! Ja... Ja go nawet nie pamiętam!

– Ha! Ha! – zaśmiał się Belllounds. – No, szlag, to wkrótce go zobaczysz. Jack jest w Kremmling i będzie tu dziś wieczorem lub jutro.

– Ale... ja... ja go nie kocham – wyjąknęła Columbine.

Stary człowiek spoważniał; pomarszczona mocno twarz znów nabrała surowego wyglądu; wielkie oczy rozbłyły. Jej błagalny sprzeciw zranił go. Przypomniało jej się, jak czuły był starzec na wszelką krytykę dotyczącą jego syna.

– A to pech – odrzekł szorstko. – Może zmienisz zdanie. Raczej żadna dziewczyna nie mogłaby zbyt pomóc chłopcu, gdyby jej na nim nie zależało. W każdym razie, ty i Jack pobierzecie się.

Oddalił się, a Columbine pojechała na swym mustangu daleko, w górę zbocza doliny, gdzie mogła być sama. Stojąc na skraju urwiska, uświadomiła sobie nagle, że cisza i samotność tego jej odludnego miejsca odpoczynku została czymś zakłócona. Bydło porykiwało pod nią, wzdłuż zbocza starych White Slides i na trawiastych wyżynach powyżej. Zapomniała, że bydło było pędzone na niziny na jesienny *round-up*². Na obszarze tuż pod nią kręciło się i kłębiło wielkie stado

¹ *Szkuner preriowy* (ang. prairie-schooner) – klasyczny, kryty wóz, który wioził osadników na zachód przez równiny Ameryki Północnej; przydomek pochodzi od typowego pokrowca na wagon z białego materiału, który z daleka upodabniał go do białego płótna żagli statku.

² *Round-up* (ang.) – spędzanie bydła w celu kontroli, znakowania, wysyłki na rynek itp., jak w zachodnich Stanach Zjednoczonych.

w czerwono-białe łaty. Cielęta i roczniaki wzbijały kurz, który unosił się wzdłuż zbocza góry; dzikie, stare woły biegły przez szatwie, naprzód, nie pozwalając zagnać się w dół; krowy biegały i ryczały za zbląkanymi sztukami. Donośne nawoływania kowbojów niosły się melodyjnie i wyraźnie. Bydło znało te wezwania i tylko dzikie woły poruszały się w złym kierunku.

Columbine również je rozpoznawała i wiedziała, do którego kowboja należą. Śpiewali, wrzeszczeli i przeklinali, ale to wszystko było muzyką dla jej uszu. Tu i ówdzie wzdłuż zbocza, gdzie rosły skupione w zagajniki osiki, przez otwartą przestrzeń przebiegał koń; wzbijał się kurz, a kowboj wydawał donośny i wesoły okrzyk, który niósł się po zboczcu, odbijał echem pod urwiskiem i trwał jeszcze długo po tym, jak brawurowy jeździec zniknął już w kompletnym gąszczu.

– Ciekawe, który to? Wils? – mruknęła Columbine, obserwując i nasłuchując, niejasno świadoma niewielkiej różnicy, dziwnego sprawdzianu jej pamięci o tym konkretnym kowboju. Poczula zmianę, choć jej nie rozumiała. Jednego po drugim rozpoznawała jeźdźców na stokach poniżej, ale Wilsona Moore’a wśród nich nie było. Zatem musi być nad nią. Odwróciła się więc i spojrzała ponad trawiastą skarpą, w górę, na długie, żółte zbocze, gdzie połyskujące osiki do połowy zakrywały, wznoszące się wysoko, czerwone urwisko górskie. Nagle z daleka, po jej lewej stronie, wysoko na porośniętej krzakami krawędzi zbocza, spłynął w dół głos, od którego przeszedł ją dreszcz.

– Idź... naprzód... ty – ooooo!

Czerwone bydło pognąło w dół zbocza na łeb na szyję, wzbijając kurz, wyrывая krzaki, powodując osuwanie się kamieni i wydając ochryple ryki.

– Heeej! – przenikliwy i donośny okrzyk zabrzmiał wyraźniej.

Columbine zobaczyła, jak biały mustang błysnął na szczycie grani, na tle błękitu, powiewając grzywą i ogonem. Jego chód po krawędzi stromego zbocza świadczył o tym, że jego jeździec był brawurowym kowbojem, którego nie przerażała żadna wysokość ani głębokość. Rozpoznałaby go po sposobie, w jaki jechał, gdyby nie znała tej szczupłej, wyprostowanej postaci. Kowboj natychmiast ją zauważył. Pociągnął

mustanga, który miał zamiar już rzucić się w dół zbocza, i sprawił, że zwierzę stanęło na tylnych nogach, obracając się. Wtedy Columbine zamachała ręką. Kowboj spał konia ostrogami¹ wzdłuż grzbietu grani, zniknął za osikowym zagajnikiem i znów pojawił się w zasięgu wzroku po prawej stronie, gdzie zwolecił na trawiastej skarpie i zaczął zjeżdżać w dół na urwisko.

Dziewczyna patrzyła, jak się zbliża, świadoma nieznanego poczucia niepewności tego spotkania i faktu, że postrzegała go inaczej niż kiedykolwiek w ciągu tych lat, gdy był towarzyszem zabaw, przyjacielem, prawie bratem. Jeździł dla Bellloundsa od lat i był kowbojem, ponieważ bardzo kochał bydło, konie jeszcze bardziej, a przede wszystkim życie na świeżym powietrzu. W przeciwieństwie do większości kowbojów, uczęszczał do szkoły; miał rodzinę w Denver, która sprzeciwiała się jego dzikiemu życiu na pastwiskach i często namawiała do powrotu do domu; czasem wydawał się chłodny, powściągliwy i niełatwo było go zrozumieć.

Podczas gdy wiele myśli kłębiło się w głowie Columbine, ona sama przyglądała się, jak kowboj powoli jedzie w jej stronę i coraz bardziej niepokoiło ją jej nagłe skrępowanie. Jak Wilson przyjmie wiadomość o tej przymusowej zmianie, która wkrótce nastąpi w jej życiu? Pojawiła się taka myśl. Poczula dziwne ukłucie. Ale ona i on byli tylko dobrymi przyjaciółmi. A jeśli o to chodzi, pomyślała, ostatnio nie byli już takimi przyjaciółmi i towarzyszami, jak dawniej. W ekscytującej niepewności związanej z tym spotkaniem zapomniała o jego dystansie i braku drobnych aktów sympatii, za którymi tęskniła.

W tym czasie kowboj zdążył wjechać na równy teren i z leniwym wdziękiem, charakterystycznym dla niego, zsunął się z siodła. Był wysoki, szczupły, dobrze zbudowany, o wąskich biodrach jeźdźca, ale niezbyt szerokich ramionach. Stał wyprostowany jak Indianin. Oczy miał piwne, rysy regularne, twarz opaloną. Wszyscy mężczyźni na otwartej przestrzeni mieli spokojne, szczupłe, silne i mocne twarze, ale w nim dodatkowo była jeszcze stałość wyrazu, powściągliwość, która zdawała się skrywać smutek.

¹ *Ostrogi* – część oporządzenia jeźdźca ułatwiająca prowadzenie konia, przede wszystkim pobudzająca go do biegu.

– Jak się masz Columbine! – odezwał się. – Co tu robisz? Możesz zostać potrącona.

– Witaj, Wils! – odpowiedziała powoli. – Och, chyba mogę trzymać się z daleka.

– W tej grupie jest kilka paskudnych wołów. Jeśli którykolwiek z nich tu przybiegnie, Pronto zostawi cię i wróci do domu. Ten mustang nienawidzi bydła. A wiesz, że on jest tylko w połowie ujarzmiony.

– Zapomniałam, że dziś robicie spędy – odpowiedziała i odwróciła wzrok.

Nastąpiła pauza – długa, jak jej się zdawało.

– Po co tu przyjechałaś? – zapytał zaciekawiony.

– Chciałam nazrywać *columbines*. Widzisz? – wyciągnęła ku niemu kiwające się kwiaty. – Weź jednego... Podobają ci się?

– Tak. Lubię *columbines* – odparł, biorąc jeden z nich. Jego bystre piwne oczy złagodniały i pociemniały. – Kwiat Kolorado.

– Columbine...! To moje imię.

– Cóż, czy mogłabyś mieć lepsze? Pasuje do ciebie.

– Dlaczego? – spytała i ponownie na niego spojrzała.

– Jesteś smukła i pełna wdzięku. Trzymasz głowę wysoko i dumnie. Twoja skóra jest biała. Twoje oczy są niebieskie. Nie niebieskie jak hiacyntowiec¹, ale jak *columbines*... I stają się fioletowe, gdy się złościsz.

– Komplementy! Wilson, to coś nowego u ciebie – rzekła.

– Jesteś dzisiaj inna.

– Tak, jestem – spojrzała przez dolinę w stronę zachodzącego słońca i lekki rumieniec zniknął jej z policzków. – Nie mam prawa dumnie nosić głowy. Nikt nie wie, kim jestem i skąd pochodzę.

– Jakby to miało jakiekolwiek znaczenie! – wykrzyknął.

– Belllounds nie jest moim ojcem. Nie mam ojca. Byłam podrzutkiem. Znaleźli mnie w lesie – dziecko zagubione wśród kwiatów.

¹ *Hiacyntowiec* (hiacyncik, *Hyacinthoides* syn. *Endymion*) – roślina cebulowa należąca do rodziny szparagowatych (*Asparagaceae*); rodzaj ten występuje w lasach klimatu umiarkowanego w Europie, na obszarach górskich zachodniej Afryki oraz w Ameryce Północnej jako gatunki dziczące; kwiaty są zebrane w groniaste kwiatostany, są zwisające i mają dzwonkowaty kształt (przypominają kwiaty hiacyntów), zwykle niebieskie.

Zawsze byłam Columbine Belllounds. Ale to nie jest moje nazwisko. Nikt nie potrafi powiedzieć, jak naprawdę się nazywam.

– Poznałem twoją historię wiele lat temu, Columbine – rzekł poważnie. – Wszyscy wiedzą. Stary Bill powinien być ci to już dawno powiedzieć. Ale on cię kocha. Tak jak i wszyscy. Nie możesz pozwolić, by to odkrycie cię zasmuciło... Przykro mi, że nigdy nie poznałeś matki ani siostry. Mógłbym ci opowiedzieć o wielu sierotach, których historie miały inny koniec.

– Nie rozumiesz. Byłam szczęśliwa. Nie tęskniłam za niczym... nikim, z wyjątkiem matki. Tylko...

– Czego nie rozumiem?

– Nie powiedziałam ci wszystkiego.

– Nie? No, to mów – powiedział powoli.

Znaczenie wahania i powściągliwości, które utrudniało jej myślenie, teraz stało się dla Columbine jasne. Chodziło o to, co Wilson Moore może myśleć o jej potencjalnym małżeństwie z Jackiem Bellloundsem. Wciąż nie potrafiła zrozumieć, dlaczego czuła się tak dziwnie niepokojona co do gruntu, na którym stała, ani w jaki sposób mogło to powodować skrępowanie, z którym musiała walczyć, by je ukryć. Co więcej, ku swej irytacji, odkryła, że unikała jego bezpośredniej prośby o podzielenie się zatajonymi przez siebie wiadomościami.

– Jack Belllounds wraca do domu dziś wieczorem albo jutro – powiedziała.

Następnie, czekając na odpowiedź swego towarzysza, utkwiała niewidzący wzrok w sosnach, skąpo okalających Old White Slides. Jednak wydawało się, że od Moore'a nie nadejdzie żadna odpowiedź. Jego milczenie zmusiło ją do odwrócenia się w jego stronę. Twarz kowboja zmieniła się lekko; pociemniała, ale pod opalenizną pojawił się czerwony odcień i nie przygryzał już dolnej wargi, nawet gdy patrzyła. Jego wzrok skupiony był na lassie, które związał. Nagle spojrzął jej w twarz, a ciemny ogień w jego oczach ją zszokował.

– Od miesiący spodziewałem się, że ten *shorthorn*¹ wróci – rzekł bez ogródek.

¹ *Shorthorn* (ang.) – rasa bydła (z krótkimi rogami).

– Ty... nigdy... nie lubiłeś Jacka? – zapytała powoli Columbine. Nie to chciała powiedzieć, ale słowa same wyszły jej z ust.

– Jasne, że nie.

– Odkąd ty i on posprzeczałicie się – dawno temu – na całego...

Jego gwałtowny gest sprawił, że zwinięte lasso poluźniło się.

– Odkąd porządnie mu dołożyłem, nie zapominaj o tym – przerwał Wilson. Czerwień zniknęła z opalonej twarzy.

– Tak, dołożyłeś mu – odparła w zamyśleniu Columbine. – Pamiętam to. I od tamtej pory Jack cię nienawidzi.

– I nawzajem.

– Ale, Wils, nigdy wcześniej nie mówiłeś w ten sposób, nie występowałeś tak otwarcie przeciwko Jackowi – zaprotestowała.

– Cóż, nie jestem typem człowieka, który obgaduje kogoś za plecami. Ale nie jestem też nieszczerzy i... i...

Nie dokończył zdania, a jego znaczenie było zagadkowe. Ogólnie rzecz biorąc Moore wydawał się nie być sobą. Fakt ten zaniepokoił Columbine. Zawsze mu się zwierzała. Sytuacja była bardzo złożona – paliła się, żeby mu o tym powiedzieć, ale jakos się obawiała... Nie wiadomo czemu, czuła satysfakcję z jego gorzkiego odniesienia się do osoby Jacka. Wyglądało na to, iż zdawała sobie sprawę z tego, że ceniła przyjaźń Wilsona bardziej, niż sądziła, a teraz z jakiegoś dziwnego powodu ta wymykała jej się z rąk.

– Byliśmy... byliśmy takimi dobrymi przyjaciółmi, kumplami – powiedziała Columbine pośpiesznie i bez związku.

– Kto? – wpatrywał się w nią.

– Ty i ja.

– O! – jego ton złagodniał, ale w jego spojrzeniu nadal można było dostrzec dezaprobatę. – Co z tego?

– Coś się wydarzyło, co sprawiło, że się za tobą ostatnio stęskniłam – to wszystko.

– Aha! – w jego tonie była ostateczność i gorycz, ale nie chciał się angażować.

Columbine wyczuła w nim dumę, który wydawała się być przyczyną jego rezerwy.

– Wilson, dlaczego ostatnio się zmieniłeś? – zapytała żałośnie.

– Co ci po tym, jeśli teraz ci powiem? – odpowiedział pytaniem.

Dało jej ono bliżej nieopisane odczucie rzeczywistej straty. Ona żyła w świecie marzeń, a on w tym rzeczywistym. W tej chwili nie mogła rozwiać swego snu – zobaczyć i zrozumieć wszystkiego, co wydawało się, że rozumiał on. Poczula się wtedy jak dziecko, które za szybko dorasta. Dziwna, dawna tęsknota za matką wezbrała się w niej niczym silny przypływ. Za kimś, na kim mogłaby się oprzeć, za kimś, kto by ją kochał, kto pomógłby jej w tym czasie, gdy do drzwi młodości zapukało nieszczęście – jakże tego potrzebowała!

– To może nie być dla mnie dobre, ale mimo wszystko powiedz – rzekła w końcu, odpowiadając czemuś kobiecemu, co się w niej obudziło, jak ktoś starszy niż była godzinę temu. Nie rozumiała tego impulsu, ale w niej był.

– Nie! – oświadczył Moore, a rumieniec wypłynął mu na twarz. Rzucił zwinięte lasso na siodło i przytwierdził do niego niezgrabnie. Nie patrzył na nią. Jego ton wyrażał gniew i zdumienie.

– Tata mówi, że muszę poślubić Jacka – powiedziała, wracając nagle do swej naturalnej prostoty.

– Słyszałem, jak mówił o tym kilka miesięcy temu – rzucił ostro Moore.

– Słyszałeś! Czy to było..., dlaczego? – wyszeptwała.

– Tak. – Zabrzmiął dźwięcznie jego głos.

– Ale to nie powód, żebyś był... był... trzymał się ode mnie z daleka – oświadczyła, a jej duch nabierał siły.

Zaśmiał się szorstko.

– Wils, nie lubisz mnie już po tym, co powiedział tata? – spytała.

– Columbine, dziewiętnastoletnia dziewczyna, która ma wkrótce wyjść za mąż, nie powinna być niemądra – odpowiedział z sarkazmem.

– Nie jestem niemądra – zaprzeczyła gwałtownie.

– Zadajesz niemądre pytania.

– No cóż, przestałeś mnie lubić po tym, bo inaczej nigdy byś mnie źle nie potraktował.

– Jeśli uważasz, że cię źle potraktowałem, mówisz nieprawdę – odpowiedział równie gwałtownie.

Nigdy wcześniej nie byli tak bliscy kłótni. Columbine doświadczyła nowego dla siebie uczucia: połączenia strachu, gorąca i bólu, wszystko, jak się wydawało, w jednym ukluciu. Wilson ją ranił. Dreszcz przebiegł przez całe jej ciało, wzdłuż jej żył, nasilając się i mrowiąc.

– Uważasz, że kłamię? – rzuciła.

– Tak, jeśli...

Zanim jednak zdążył dokończyć, spoliczkowała go. Zbladł, a ona zadrżała.

– Och... nie chciałam. Wybacz mi – wyjąkała.

Potał policzek. Jeśli chodziło o cios, ból nie był duży, ale jego oczy pełne cierpienia i gniewu.

– Och, nie przejmuj się! – Wybuchnął. – Już mnie wcześniej uderzyłaś – raz, wiele lat temu – za to, że cię pocałowałem. Ja... ja przepraszam, że powiedziałem, że skłamałaś. Po prostu się zdenerwowałaś. I ja też.

To zażegnało burzę. Kowboj zdawał się wahać pomiędzy ucieczką a ryzykiem pozostania tu dłużej.

– Może i tak – odpowiedziała Columbine, uśmiechając się lekko. Sama też była prawie bliska łez i furii. – Pogódźmy się, bądźmy znów przyjaciółmi.

Moore zwrócił się w jej stronę zaczepnie, napastliwie. Wydawało się, że umacnia swoją pozycję przeciwko czemuś w niej. Czuła to. Jego twarz stała się twardsza i starsza, niż kiedykolwiek.

– Columbine, czy wiesz, gdzie Jack Belllounds był przez te trzy lata? – zapytał, celowo i całkowicie ignorując jej propozycję przyjaźni.

– Ktoś powiedział w Denver, ktoś inny w Kansas City¹. Nigdy nie pytałam taty, bo wiedziałam, że Jack został odesłany. Sądziłam, że pracował – doroślał, z chłopca stawał się mężczyzną.

– No cóż, mam tylko nadzieję, przez wzgląd na ciebie, że masz rację – odparł Moore z niezwykłą goryczą.

– Czy wiesz, gdzie on był? – zapytała Columbine. Pchnęło ją do tego jakieś dziwne uczucie. Tu była tajemnica. Wzburzenie Wilsona wydawało się dziwne i głębokie.

¹ *Kansas City* (ang.) – miasto w USA, we wschodniej części stanu Kansas, przy ujściu Rzeki Kansas do Missouri.

– Tak, wiem – wyrzucił z siebie kowboj przez zaciśnięte zęby, jakby zaciskał je przed ogarniającą go pokusą wyjawienia prawdy.

Columbine straciła zainteresowanie. Była kobietą i zdawała sobie sprawę, że mogą istnieć fakty, które tylko pogorszą jej sytuację.

– Wilson – zaczęła pospiesznie – wszystko kim jestem, zawdzięczam tacie. Opiekował się mną, wysłał mnie do szkoły. Był dla mnie taki dobry. Zawsze go kochałam. Byłaby to podła odpłata za całą jego ochronę i miłość, gdybym... gdybym odmówiła...

– Stary Bill to najlepszy człowiek na świecie – przerwał Moore, jakby chciał odrzucić wszelkie insynuacje, co do przejawów braku lojalności wobec swego pracodawcy. – Każdy w Middle Park i na całym świecie zawdzięcza coś Billowi. Jest dobry. Nigdy nie było z nim nic nie tak, z wyjątkiem tej szalonego zaślepienia na punkcie swego syna. Buster Jack... ten... ten...

Columbine położyła dłoń na ustach Moore'a.

– Ten mężczyzna, którego muszę poślubić – rzekła poważnie.

– Musisz... zrobisz to? – Zażądał odpowiedzi.

– Oczywiście. Co innego mogłabym zrobić? Nigdy nie przeszła mi przez myśl odmowa.

– Columbine! – okrzyk Wilsona był tak przejmujący, jego gest tak gwałtowny, a jego ciemne oczy tak przeszywające, że Columbine przeżyła szok, od którego zadrżała i umilkła. – Jak możesz kochać Jacka Bellloundsa? Miałś dwanaście lat, kiedy go po raz ostatni widziałś. Jak możesz go kochać?

– Nie kocham – odpowiedziała Columbine.

– Jak więc możesz za niego wyjść?

– Jestem winna tacie posłuszeństwo. Ma nadzieję, że uda mi się ustatkować Jacka.

– Jack się ustatkuje! – zawołał Moore z pasją. – Dziewczyno, ty kwiatuśku o białej twarzy! Ty swoją niewinnością i słodyczą ustatkujesz tego przekłętą szczeniaka! Wielkie nieba! On był hazardzistą i pijakiem. On...

– Cicho! – błagała Columbine.

– Oszukiwał w karty – oświadczył kowboj, z pogardą potępiającą ten występek jako całkowicie niegodziwy.

– Ale Jack był tylko dzikim chłopcem – odparła Columbine, próbując odważnymi słowami stawać w obronie syna mężczyzny, którego kochała jak ojca. – Został wysłany do pracy. Wyrósł z tego. Wróci do domu jako mężczyzna.

– Bzdura! – krzyknął ostro Moore.

Columbine poczuła się słabo. Gdzie się podziała jej siła? Ona, która potrafiła chodzić i jeździć konno wiele mil¹, drżała cała w środku! To było dziecinne. Próbowала ukryć przed nim swą słabość.

– To do ciebie niepodobne, zachowywać się w ten sposób – powiedziała. – Zawsze byłeś taki wspaniałomyślny. Czy to moja wina? Czy ja wybrałam swoje życie?

Moore szybko odwrócił od niej wzrok i trzymając rękę na swym wierzchołku, milczał przez chwilę. Wyprostowane ramiona świadczyły o jego myślach. W tej samej chwili wskoczył na siodło. Mustang parsknął, gryzł wędzidło² i potrząsnął łbem, gotowy do skoku.

– Wybacz mi mój gniew – prosił kowboj, spoglądając w dół na Columbine. – Odwołuję wszystko. Przepraszam, Nie pozwól, aby moje słowa cię zmartwiły. Byłem po prostu zazdrosny.

– Zazdrosny! – wykrzyknęła ze zdumieniem Columbine.

– Tak. To sprawia, że człowiek wpada w furję. Przekleństwo! Nigdy tego nie czułaś.

– O co byłeś zazdrosny? – spytała Columbine.

Kowboj wziął się już w garść i patrzył na nią z ponurym rozważaniem.

– No cóż, Columbine, to jak bajka – odpowiedział. – Jestem facetem, którego rodzina się wyrzekła – wędrowcem po dziczy i pustkowiu – nic dobrego – i żadnych perspektyw... Teraz nasz przyjaciel Jack, ten jest przystojny i bogaty. Ma starego ojca, który go uwielbia. Bydło, konie, pastwiska! To on zdobywa dziewczynę! Rozumiesz?!

Spinając ostrogami swego mustanga, kowboj odjechał. Na skraju zbocza odwrócił się w siodle.

– Muszę zagnać to stado bydła. Jest późno. Spiesz się do domu.

¹ *Mila* (ang. mile) – jednostka długości stosowana w krajach anglosaskich.

² *Wędzidło* – część uzdy włożonej do pyska konia, umożliwiając jeźdźcowi kontrolowanie i kierowanie koniem poprzez wywieranie nacisku na niego.

Potem zniknął. Kamienie trzeszczały i toczyły się pod zboczem urwiska.

Columbine stała tam, gdzie ją zostawił, pełna wątpliwości, ale z wciąż gorącymi policzkami.

– Zazdrosny...? To on zdobył dziewczynę? – mruknęła, powtarzając do siebie. – Co on mógł mieć na myśli? Nie myślał chyba... nie myślał...

Ta prosta, logiczna interpretacja słów Wilsona otworzyła umysł Columbine na niepokojącą możliwość, o której nigdy nawet nie śniła. Mógł ją kochać! Jeśli tak, to dlaczego tego nie powiedział? Zazdrosny może i był, ale jej nie kochał! Następne poruszenie myśli było jak pukanie do drzwi jej serca – drzwi jeszcze nieotwartych, za którymi zdawała się mieszkać tajemnica uczuć, nadziei, rozpaczy, nieznannej tęsknoty i hałaśliwych głosów. Kobieta, którą dopiero co się stawiała, instynktownie i w samoobronie zamknęła te drzwi, nim zdążyła rzucić okiem do środka. Ale wówczas poczuła, jak serce w dziwny sposób jej ciąży.

Pronto paśł się niedaleko. Złapała go i dosiadła. Wtedy poczuła, że ręce zdrętwiały jej z zimna. Wiatr uciął w osikach, a żółte liście opadały z szelestem. Ze szczytu zbocza widziała dom i zachód.

Cudowny zachód słońca w Kolorado osiągnął właśnie wspaniałą pełnię swego koloru i transformacji. Szałwiowe zbocza pod nią przypominały różany aksamit; na dalszych krańcach czubki złotych osik płonęły czerwienią; pogórze było wyraźne, łagodne i obficie oświetlone; przepaść w oddali, prowadząca do wielkiego czarnego pasma, była ukryta w górskiej purpurze; a ciemne szczyty poza pasmem wznosiły się wspaniale, skąpane w promieniach zachodzącego słońca. Wąski pas błękitnego nieba pomiędzy masywami skalnymi a chmurami przypominał rzekę pełną wełniastych żagli i srebrnych smug. Powyżej wznosił się całun ciemnej chmury, pełnej cieni zbliżającej się nocy.

– Och, piękne! – wyszeptała dziewczyna, z całym swym uwielbieniem dla natury.

Ten dziki świat majestatu zachodu słońca, odosobnienia i piękna należał do niej. Tam, pod szczytem czarnego pasma górskiego, znajdo-



Ze szczytu zbocza widziała dom i zachód. Cudowny zachód słońca w Kolorado osiągnął właśnie wspaniałą pełnię swego koloru i transformacji.

wało się miejsce, gdzie ją znaleziono, dziecko zagubione w lesie. Należało do tego, a zatem ono należało do niej. Splendor światła na wzgórzach nappełnił ją siłą.

Pronto nadstawił uszu i zwolnił.

– Co to...? – zawołała Columbine. Na szlaku robiło się coraz ciemniej. Cienie pełzały po zboczu, gdy jechała im na spotkanie. Mustang miał bystry wzrok i węch. Ściągnęła lejce i zatrzymała go.

Wokół panowała kompletna cisza. Dolina zaczynała się zacieniać po najodleglejszej stronie, a róż i złoto zdawały się blednąć bliżej. Poniżej, na równym dnie doliny, znajdował się nieforemny stary dom na ranczu, z chatami przycupniętymi wokół niego i zagrodami prowadzącymi na miękkie pola siana, mglistymi i szarymi o zmierzchu. Świeciło się jedno światło. Było jak latarnia morska.

Powietrze było zimne, mróz szczypał. Daleko po drugiej stronie grani, z której zjechała, dobiegły ryki ostatniego guzdrającego się bydła ze spędu, ale z pewnością Pronto nie nastawił uszu dla nich. Jakby w odpowiedzi ze zbocza spłynął w dół dziki dźwięk, na który to mustang podskoczył. Columbine słyszała go już wcześniej.

– Pronto, to tylko wilk – uspokoiła konia.

Dźwięk był głośny, początkowo dość ostry, potem złagodniał do lamentu, dzikiego, samotnego, zapadającego w pamięć. Stado kojotów¹ szczeknęło w gniewnej odpowiedzi, przeszywającym, urywanym, skowyczącym chórem, którego bardziej ostre nuty wgryzały się w zimne nocne powietrze. Te górskie lamenty i skowyty były muzyką dla uszu Columbine. Jechała szlakiem w zapadającej ciemności, mniej obawiając się nocy i jej dzikich mieszkańców, niż tego, co czekało ją na White Slides Ranch.



¹ *Kojot* (kujot, wilk preriowy, *Canis latrans*) – ssak drapieżny z rodziny psowatych; występuje w Ameryce Północnej, od Alaski Quebecu po Kostarykę.

Rozdział II

Nmrok okrył dolinę niczym ciemny płaszcz. Columbine miała nadzieję, że Wilson będzie czekał, by zająć się jej koniem, jak miał to w zwyczaju, ale rozczarowała się. Chata, w której mieszkali kowboje była nieoświetlona; nie wrócił jeszcze ze spędu bydła. Rozsiadła Pronto i puściła go na pastwisko.

Okna długiego, niskiego budynku na ranchu wyglądały w ciemności jak jasne kwadraty, wysyłające daleko radosne promienie. Columbine z niepokojem zastanawiała się, czy Jack Belllounds wrócił do domu. Wejście do środka wymagało od niej wysiłku woli. A ponieważ musi się z nim spotkać, to im szybciej ta męka się skończy, tym lepiej. Pomimo tego przeszła na palcach obok jasnych okien, a potem przez całą długą werandę, odwróciła się i poszła z powrotem, następnie zawahała się, walcząc z oporem w duchu i uciskiem w sercu. Drzwi były prymitywne i ciężkie. Z trudem się otworzyły.

Columbine weszła do dużego pokoju oświetlonego stojącą na stole lampą i polanami płonącymi w ogromnym kamiennym kominku. To był salon, dość ponury w rogach i pusty, ale wygodny, zaspokajający proste potrzeby. Drewniane bale, z których zbudowany był dom, były nowe, a szczeliny między nimi wypełnione gliną, wciąż białą, co wskazywało na to, że dom został niedawno postawiony.

Ranczer Belllounds siedział w swoim głębokim fotelu przed kominem, wyciągając swe duże, spracowane dłonie ku ciepłu. Ubrany był w koszulę i był siwym mężczyzną o śmiałej twarzy, ponad sześćdziesięcioletnim, wciąż muskularnym i silnym.

Gdy usłyszał wchodzącą Columbine uniósł opuszczoną głowę, maskując w ten sposób smutek.

– No, dziewczyno, jesteś – Brzmiało jego powitanie. – Jake wrzeszczy, że kolacja jest gotowa. Teraz możemy jeść.

– Tato... czy... czy twój syn przyjechał? – spytała Columbine.

– Nie. Dostałem wiadomość dopiero o zachodzie słońca od jednego z kowbojów Bakera w górze doliny. Jechał z Kremmling i zatrzymał się, żeby powiedzieć, że Jack świętuje swoje przybycie, pijąc za dużo alkoholu. Zakładam, że nie będzie dziś w domu. Może jutro.

Belllounds mówił równym, zmęczonym głosem, bez żadnych szczególnych uczuć. Zawsze był bezlitośnie szczery i zawsze walił prawdę prosto z mostu, ale Columbine, która dobrze go знаła, czuła, jak ta wiadomość boleśnie go dotknęła. Poczowała urazę do tego krnąbrnego, lekceważącego syna, ale wiedziała lepiej, żeby nie wyrażać jej na głos.

– To naturalne, myślę, że Jack poczuł się wesoło po powrocie do domu. Nie mam do niego o to pretensji. Te trzy ostatnie lata musiały być ciężkie dla tego chłopca.

Columbine wyciągnęła ręce do płomienia.

– Jest zimno, tato – oświadczyła. – Nie ubrałam się ciepło, więc prawie zamarzłam. Nadeszła jesień i w powietrzu czuje się mróz. Och, wzgórza były całe w złocie i czerwieni – liście osiki opadały. Kocham jesień, ale to oznacza, że zima jest już blisko.

– No, no, czas płynie. – Westchnął starzec. – Gdzie pojechałaś?

– W górę zachodniego zbocza do urwiska. To daleko. Nie jeżdżę tam często.

– Spotkałeś kogoś z chłopców? Wysłałem tam ekipę, żeby spędziła bydło z góry. Ostatnio straciłem sporo sztuk. Jedzą jakieś trujące chwasty. Wzdyma je od tego i zdychają. W tym roku jest gorzej niż kiedykolwiek wcześniej.

– To poważna sprawa, tato! Biedactwa! To gorsze od zjedzenia *lo-co*¹... Tak, zjeżdżając po zboczu, spotkałam Wilsona Moore'a.

– Aha! No, jedźmy.

¹ *Locoweed* (ang.) – odnosi się do kilku gatunków roślin, które są toksyczne dla zwierząt gospodarskich, zwłaszcza bydła i koni, gdy są spożywane w dużych ilościach; rośliny te należą do rodzajów *Astragalus* i *Oxytropis*, i można je spotkać w różnych regionach świata; zawierają toksyczne substancje zwane między innymi swainsoniną i selenem, które mogą doprowadzić zwierzęta do stanu zwanego „lokoizmem”, który charakteryzuje się objawami neurologicznymi, takimi jak brak koordynacji, drżenie, letarg, a w ciężkich przypadkach nawet śmierć. Nazwa *locoweed* pochodzi od hiszpańskiego słowa „loco”, co oznacza „szalony”, ponieważ spożycie tych roślin może doprowadzić do nietypowego zachowania u chorych zwierząt.

Zasiedli do stołu, który to kucharz, Jake, zastawiał parującymi potrawami. Kolacja tego wieczora była dość wystawna, na cześć oczekiwanego gościa, który nie przybył. Columbine nałożyła staremu człowiekowi jego ulubione dania na talerz, ukradkiem zerkając na jego przyciążającą, pociętą zmarszczkami twarz. Wyczuła w nim subtelny zmianę od popołudnia, ale nie dostrzegła żadnych oznak w jego wyglądzie ani zachowaniu. Apetyt miał wilczy jak zawsze.

– Więc spotkałeś Wilsa. Czy nadal zaleca się do ciebie? – zapytał po chwili Belllounds.

– Wcale nie. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek to... robił... tato – odpowiedziała.

– W głowie wciąż jeszcze jesteś dzieckiem, ale ciałem kobietą. Ten kowboj usycha z miłości do ciebie, odkąd byłaś małą dziewczynką. Dlatego wciąż tu jeszcze jest i jeździ dla mnie.

– Nie wierzę w to, tato – rzekła Columbine, czując, jak krew pulsuje jej w skroniach. – Zawsze wyobrażałeś sobie takie rzeczy o Wilsonie i innych chłopcach też.

– Ach! Jestem starym głupcem i nic nie wiem o kobietach, co? Może kiedyś, wiele lat temu, ale teraz rozumiem... Czy Wilson nie stawał się zawsze zazdrosny, kiedy którykolwiek z pozostałych chłopców próbował zrobić na tobie wrażenie?

– Nie pamiętam, żeby był – odparła Columbine. Miała ochotę się roześmiać, choć temat wcale nie wydawał jej się zabawny.

– Zawsze byłaś niewinna i prostoduszna. Dzięki Bogu, że nigdy nie zachowywałaś się, jak większość ładnych dziewcząt, które robią słodkie oczka do wszystkich mężczyzn. W każdym razie trzy miesiące temu powiedziałem Wilsowi, żeby trzymał się od ciebie z daleka, że nie jesteś dla żadnego biednego kowboja.

– Nigdy go nie lubiłeś. Dlaczego? Czy to było w porządku najmować go przez tyle lat?

– No, sądząc, że nie – odpowiedział Belllounds, a kiedy podniósł wzrok, jego szeroka twarz nabrała rumianego koloru. – Ten chłopak to najlepszy jeździec i *roper*¹, jakiego miałem od lat. Nie jest jednym

¹ *Roper* (ang.) – kowboj łapiący bydło na lasso.

z tych ujeżdżaczy dzikich koni. Nigdy nie pił. Był uczciwy i chętny do pracy. Oszczędza pieniądze. Dobrze sobie radzi z bydlęm. Ten chłopak pewnego dnia będzie bogatym ranczerem.

– Dziwne więc, że nigdy go nie lubieś – mruknęła Columbine.

Poczuła się zawstydzona tym, jaką sprawiło jej to radość, słysząc pochwały na temat Wilsona.

– Nie, to nie jest dziwne. Mam swoje powody – odparł szorstko Belllounds, wracając do jedzenia.

Columbine uważała, że potrafi odgadnąć przyczynę nieuzasadnionej niechęci starego ranczera do tego kowboja. Prawdopodobnie dlatego, że Wilson zawsze i pod każdym względem był lepszy od Jacka Bellloundsa. Chłopcy byli naturalnymi rywalami we wszystkim, co dotyczyło życia na ranchu. To, co Bill Belllounds najbardziej podziwiał u mężczyzn, było widoczne u Wilsona, a brakowało tego jego własnemu synowi.

– Czy teraz powierzysz Jackowi kontrolę nad swoim ranchem? – spytała Columbine.

– Nie całkiem. Myślę, że wypróbuję go w White Slides jako zarządcę. A jeśli pokieruje ekipą, to wtedy zobaczę.

– Tato, on nigdy nie będzie zarządzał ekipą White Slides – zapewniła Columbine.

– No, zgadzam się, to trudna grupa, ale myślę, że chłopcy zostaną, z wyjątkiem może Wilsa. I równie dobrze byłoby, gdyby odszedł.

– Odsyłanie najlepszego kowboja to nie jest dobry pomysł. Słyszałam, że ostatnio narzekałeś na brak ludzi.

– Jasne, że potrzebuję ludzi – odparł poważnie Belllounds. – Stado się powiększa i nie dajemy już rady. Posłałem wiadomość przez prerię do Meeker¹, z nadzieją, że uda mi się sprowadzić stamtąd kilku ludzi. Najbardziej jest mi teraz potrzebny ktoś, który zna się na psach i będzie polował na wilki, kuguary² i niedźwiedzie, które żywią się moim bydlęm.

¹ Meeker – miasto w stanie Kolorado, w USA.

² Kuguar (puma, lew górski, *Puma concolor*, *Felis concolor*) – duży gatunek z rodziny kotowatych, występujący w różnych środowiskach od półpustyni po las w Ameryce Północnej i Ameryce Południowej, od zachodniej i południowej Kanady po południowe Chile.

– Tato, potrzebujesz całej ekipy, żeby poradzić sobie ze stadami psów. Z taką mieszanką! Musi ich być ze stu. Nie dalej jak wczoraj jakiś człowiek przyprowadził zgraję wyliniałych, długouchych kundli. To zabawne. Tato, wszyscy się z ciebie śmieją!

– Tak i wszyscy mi podziękują, gdy pozbędę się tych wszystkich szkodników – oświadczył Belllounds. – Dziewczyno, przysięgałem, że kupię każdego psa, jakiego mi przyprowadzą, dopóki nie będę miał ich dość, by wybić wszystkie kojoty, *loafers*¹ i kuguary. Tak też to zrobię. Ale potrzebuję myśliwego.

– Dlaczego nie powierzyć Wilsonowi Moore’owi opieki nad psami? Jest myśliwym.

– No, dziewczyno, to może być dobry pomysł – odpowiedział ranczer, kiwając siwą głową. – Słuchaj, w pewnym sensie chcesz, żebym zatrzymał tu Wilsa?

– Tak, tato.

– Dlaczego? Tak bardzo go lubisz?

– Lubię go – oczywiście. Jest dla mnie prawie jak brat.

– Ach! Jesteś pewna, że nie lubisz go bardziej, niż powinnaś, biorąc pod uwagę, co wisi w powietrzu?

– Tak, jestem pewna, że nie – odpowiedziała Columbine, czując mrowienie na twarzy.

– No, to się cieszę. Myślę, że nie będzie to miało wielkiego znaczenia, czy Wils zostanie, czy odejdzie. Jeśli zechce, dam mu pracę przy psach.

Tego wieczora Columbine wcześniej udała się do swego pokoju. Było to przytulne, małe, wyściełane gniazdko, które sama urządziła i umeblowała. W drewnianych balach wycięte było małe kwadratowe okienko, przez które wiele nocy na jej łóżko padał śnieg. Uwielbiała to swoje małe, odizolowane schronienie. Tej nocy było zimno, po raz pierwszy tej jesieni, a zapalona lampka, choć rozjaśniała jej pokój, nie sprawiła, by było znacznie cieplej. Stał tam kamienny kominek, ale ponieważ zapomniała nanieść drewna, nie mogła go rozpalić. Rozebrała się więc, zdmuchnęła lampę i poszła spać. Columbine wkrótce roz-

¹ *Loafer* (ang.) – włóczęga; negatywne odniesienie do wilka.

grzała się, a ciemność panująca w jej małym pokoju wydawała się zbawienna. Czuła, że tej nocy sen nigdy nie nadejdzie. Chciała pomyśleć; nie mogła powstrzymać się od myślenia i próbowała opanować zamęt w swej głowie. Wilson Moore zajmował pierwsze miejsce w jej rozlicznych myślach – fakt zupełnie niezwykły i niewytłumaczalny. Próbowwała to zmienić. Na próżno! Wilson nie ustępował – na swym białym mustangu kłusującym przez szczyt grani – zbliżając się do niej jak nigdy dotąd – z gniewem i dezaprobatą – jego dziwny, przejmujący okrzyk: „Columbine!” prześladował ją – z uśmiechem pełnym goryczy i drwiącą mową o zazdrości. Nie ustępował i urosł jeszcze dzięki szczerym pochwałom starego ranczera.

– Nie wolno mi o nim myśleć – szepnęła. – No cóż, ja... ja wkrótce wyjdę za mąż... Za mąż!

To słowo odmieniło jej myślenie i tak, jak była podekscytowana, tak teraz poczuła chłód. Skoncentrowała się na tym fakcie.

– To prawda, wyjdę za mąż, bo powinnam... muszę – odezwała się półgłosem – ponieważ nie mogę inaczej. Powinnam tego chcieć ze względu na tatę... Ale nie chcę, nie chcę.

Ponad wszystko pragnęła być dobra, lojalna, kochająca, pomocna, by okazać swą wdzięczność za dom i miłość, jaką obdarzono bezimennego podrzutka. Bill Belllounds nie miał żadnego obowiązku niesienia pomocy obcemu, zagubionemu dziecku. Zrobił to, bo był wielki i szlachetny. Staremu ranczerowi przypisywano wiele wspaniałych czynów. Nie miała niewdzięcznej natury. Chciała spłacić dług wdzięczności, ale waga tej ceny zaczęła jej ciążyć.

– To zmieni całe moje życie – szepnęła przerażona. – Ale jak?

Columbine zastanowiła się. Musi przeanalizować szczegóły tej zmiany. Nie miała matki, która by ją tego nauczyła. Nieliczne kobiety, które od czasu do czasu odwiedzały dom Bellloundsa, nie okazały jej współczucia i życzliwości lub nie pozostawały tam wystarczająco długo, by jej zbyt wiele pomóc. Nawet jej szkolne życie w Denver pozostawiło ją wciąż dzieckiem, jeśli chodzi o poważne problemy kobiet.

– Jeśli będę jego żoną – ciągnęła. – Będę musiała z nim być, będę musiała zrezygnować z tego małego pokoju, nigdy nie będę już wolna, sama, szczęśliwa.

To był pierwszy szczegół, który wyliczyła. Był to również i ostatni. Wraz z uświadomieniem sobie tego poczuła, jak przenika ją obrzydliwy dreszcz. I w tym momencie zrodził się załazek nieświadomego buntu.

Zawyły kojoty. Dzikie, ostre, słodkie dźwięki! Koity jej umartwioną, obolałą głowę, kołysały ją do snu, przypominały jej o złocisto-purpurowym zachodzie słońca, zboczach porośniętych szalwią, samotnych wzgórzach, i pięknie, które nigdy się nie zmieni. Pomyślała sennie, że jutro przekona Wilsona, żeby nie zabijał wszystkich kojotów; żeby zostawił kilka, bo ona je kochała.

Bill Belllounds osiedlił się w Middle Park w 1860 roku. Był to dziki kraj, ojczyzna Indian Ute i naturalny raj dla wapiti¹, jelenia, antylopy i bizona. Pasma górskie były siedliskiem niedźwiedzia. Łańcuchy te osłaniały rozległą dolinę, którą wcześniej jakiś odkrywca nazwał Middle Park.

Dużą część tego odciętego płaskowyżu stanowiła preria, na której bujnie rosła wysoka trawa i polne kwiaty. Belllounds był hodowcą bydła i dostrzegł tu możliwości. W tym celu zabiegał o przyjaźń Piaha, wodza Utów. Ten szlachetny czerwonoskóry był przychylnie nastawiony do białych osadników, a jego plemię, w trudnych czasach, utrzymywało pokój z tymi najeźdźcami ich górskiego domu.

W 1868 roku Belllounds odegrał kluczową rolę w przekonaniu Utów do opuszczenia Middle Park. Zbocza wzgórz były gęsto zalesione; w górach odkryto złoto i srebro. Była to kraina, która przyciągała poszukiwaczy, hodowców bydła i drwali. Sezon letni nie był wystarczająco długi, by uprawiać zboże, a noce były zbyt mroźne dla kukurydzy; w przeciwnym razie populacja Middle Park wzrosłaby gwałtownie.

W latach, które nastąpiły po odejściu Utów, Bill Belllounds rozwinął kilka rancz bydła i nabył inne. White Slides Ranch leżało jakieś dwadzieścia mil od Middle Park, stanowiąc krętą odnogę głównego obszaru doliny. Jego rozwój był kwestią późniejszych lat, a Belllounds żył

¹ Wapiti (ang. elk, *Cervus canadensis*) – jeleni o dużym porożu i białej plamie na zadzie, żyjący w Ameryce Północnej.

tam, bo kraj był dzikszysy. W miarę upływu lat wydawało się, że ranczer pragnął utrzymać odosobnienie, którym cieszył się wcześniej. W momencie powrotu jego syna do White Slides Belllounds posiadał dużo bydła i ziemi, ale szczerze wyznał, że nie zaoszczędził żadnych pieniędzy i prawdopodobnie nigdy tego nie zrobi. Był zawsze hojny dla każdego człowieka i nigdy nie oczekiwał odpłaty. Każdemu ufał. Chwalił się, i był z tego dumny, że ani biały, ani czerwony człowiek nigdy nie zawiedli jego zaufania. Jego kowboje go wykorzystywali, jego sąsiedzi narzucali mu się, ale nie było takiego, kto nie spłaciłby swych długów pracą lub zasobami. Belllounds był jednym z wielkich pionierów Dzikiego Zachodu, którym to ów Zachód zawdzięczał swe osadnictwo i był lepszy niż większość, ponieważ udowodnił, że Indianie, jeśli nie są okradani i wypędzani, odpowiedzą na życzliwość.

W dniu, w którym Belllounds spodziewał się przyjazdu syna, nie był widziany przy swych codziennych obowiązkach. Przechadzał się po polach i wokół zagród; spacerował tam i z powrotem po werandzie, bacznie obserwując horyzont, gdzie w dolinie bieliła się droga z Kremmling; a przez część czasu przebywał w domu.

Tak się złożyło, że wczesnym popołudniem wyszedł na zewnątrz akurat w momencie, gdy na podwórze wjechał *buckboard*¹, zaprzężony w zakurzone i brudne konie. Wtedy zobaczył swojego syna. Przybiegło kilku kowbojów. Pozdrowienia skierowano do woźnicy, którego, jak się zdawało, dobrze znano.

Jack Belllounds nie spojrzał na nich. Wyrzucił torbę z powoziku, po czym powoli wygramolił się z niego i skierował w stronę werandy.

– Jack, mój synu, tak się cieszę, że wróciłeś – rzekł stary ranczer, podchodząc bliżej. Jego głos był niski i pełny, niezwykle głęboki, ale była to jedyna oznaka uczuć, jaką okazał.

– Jak się masz, tato – odpowiedział syn, niezbyt serdecznie, wyciągając do ojca rękę.

¹ *Buckboard* (ang.) – czterokołowy pojazd o prostej konstrukcji, do którego zaprzęgano najczęściej konie lub inne większe zwierzęta; wóz posiadał z przodu deskę, która służyła za podnóżek dla woźnicy lub chroniła przed tylnymi kopytami zwierzęcia na wypadek wierzgnięcia.

Jack Belllounds był wysoki, zapowiadał się, że będzie muskularny jak jego ojciec, ale nie chodził wyprostowany; trochę się garbił. Miał bladą twarz, co wskazywało na to, że ostatnio nie był wystawiony na działanie słońca i wiatru. Każdy obcy, który dostrzegłby podobieństwo chłopca do mężczyzny, przyznałby mu przystojną śmiałość, ale odmówił siły charakteru i determinacji. Dolna część twarzy Jacka Bellloundsa była słaba i mało stanowcza.

Skrepowanie w tym spotkaniu przejawiało się głównie po stronie syna. Wyglądał na zawstydzonego, niemal posepnego. Jeśli jednak był pod wpływem alkoholu w Kremmling, jak donoszono dzień wcześniej, całkowicie wytrzeźwiał.

– Chodź do domu – powiedział ranczer.

Kiedy weszli do dużego salonu, a Belllounds zamknął drzwi, syn rzucił na ziemię swój bagaż i agresywnie zwrócił się do ojca.

– Czy oni wszyscy wiedzą, gdzie byłem? – zapytał gorzko. Urażona duma i wstyd płonęły mu na twarzy.

– Nikt nie wie. Tajemnica została zachowana – odpowiedział Belllounds.

Zaskoczenie i ulga odmieniły młodego człowieka.

– Och, teraz, jestem... cieszę się... – wykrzyknął i usiadł, zakrywając do połowy twarz drżącymi rękami.

– Jack, zaczniemy od nowa – powiedział poważnie Belllounds, a jego duże oczy rozbłysły ciepłym i pięknym światłem. – Właśnie tutaj. Nigdy więcej nie wspomnimy o tym, gdzie byłeś przez te trzy lata. Nigdy więcej!

Jack podniósł wzrok, a cała jego ponurość i przygnębienie zniknęły.

– Ojciec, myliłeś się co do..., że robi mi to dobrze. Wyrządziło mi to krzywdę. Ale teraz, jeśli nikt nie wie... spróbuję o tym zapomnieć.

– Może popełniłem błąd – odparł smutno Belllounds – ale Bóg mi świadkiem, że chciałem dobrze. Z pewnością byłeś... Ale dość już tej pogawędki... Będziesz pracował jako zarządca w White Slides. A jeśli ci się uda, z radością mianuję cię szefem rancza. Starzeję się, synu. Ten ostatni rok był chudszy. Pastwisko jest niezłe, ale w tym roku mam mniej bydła niż w ubiegłym. Było trochę kradzieży, duże straty ze strony wilków, kuguarów i trujących chwastów... Co ty na to, synu?

– Będę zarządzał White Slides – odpowiedział Jack, machając ręką. – Nie spodziewałem się takiej szansy, ale to mi się należy. Jest ktoś w ekipie, kogo znam?

– Sądzę, że nikt, z wyjątkiem Wilsa Moore’a.

– Ten kowboj jeszcze tu jest? Nie chcę go.

– Każę mu ganiać za szkodnikami z psami. I posłuchaj, synu, ta ekipa jest zła. Rozumiesz – jest zła. Nie możesz kierować tą bandą. Jedy-
nym sposobem, by sobie z nimi poradzić, to wczesne wstawanie i późny powrót. Mało gadania, znajdź im zajęcie. Ciężką pracę.

Jack Belllounds nie przejawiał żadnych oznak, by przejął się słowami ojca.

– Ja im pokażę – powiedział. – Dowiedzą się, kto tu rządzi. Och, nie mogę się doczekać, aż wskoczę w buty i będę jeździł i galopował na koniu.

Belllounds pogłodził swą siwą brodę i popatrzył na syna z mieszaniną dumy i wątpliwości. Z całą pewnością nie mógł w tym momencie uciec od cudownego faktu, że jego jedyny syn jest w domu.

– W porządku, synu. Byłeś poza pastwiskiem przez trzy lata. Będziesz potrzebował rady. A teraz posłuchaj. Bądź łagodny w stosunku do koni. Źle je traktowałeś. Niektórzy kowboje szarpią konie i doprowadzają do tego, że te zaczynają się rzucać i gryźć, ale to nie jest najlepszy sposób. Koń ma swój rozum. Mam kilka niezłych sztuk i nie chcę ich zmarnować. I bądź spokojny i małomówny z chłopakami. W dzisiejszych czasach trudno jest o pomoc. Brakuje mi teraz rąk do pracy... Najlepiej zrobisz, synu, jeśli będziesz postępował z końmi i z ludźmi jak twój ojciec.

– Tato, widziałem, jak kopiesz konie i strzelasz do ludzi – odparł Jack.

– Racja, widziałeś, ale to były szczególnie złe przypadki. Nie radzę w ten sposób... Synu, to jest bliskie mojemu sercu, ta nadzieja, że ty...

Głęboki głos zadrżał i załamał się. Tylko naprawdę zatwardziały młodzieniec nie wzruszyłby się choć odrobinę na to głębokie i niewypowiedziane uczucie w starym człowieku. Jack Belllounds objął ojca ramieniem.

– Tato, jeszcze sprawię, że będziesz ze mnie dumny. Daj mi szansę. I nie gniewaj się, jeśli na początku nie będę mógł zdziałać cudów.

– Synu, będziesz miał ku temu okazję. A to mi o czymś przypomniało. Pamiętasz Columbine?

– Powinienem – odparł Jack z przejęciem. – Mówili o niej w Kremmling. Gdzie ona jest?

– Sądzę, że gdzieś niedaleko. Jack, ty i Columbine pobierzecie się.

– Pobrać się?! Columbine i ja? – wykrzyknął.

– Tak. Jesteś moim synem, a ona moją adoptowaną córką. Nie podzielę majątku. I właściwe jest, żeby dostała swój udział. Wspaniała, silna, cicha, ładna dziewczyna, Jack i będzie dobrą żoną... Bardzo podoba mi się ten pomysł.

– Ale Columbine zawsze mnie nie cierpiała.

– Była wtedy dzieckiem, a ty jej dokuczałeś. Teraz jest kobietą i chce mnie zadowolić. Jack, nie sprzeciwisz się temu układowi?

– To zależy – odrzekł Jack. – Ożeniłbym się z każdą dziewczyną, z którą byś chciał, ale gdyby Columbine lekceważyła mnie tak, jak to zwykle robiła, z pewnością bym się sprzeciwił... Tato, jesteś pewien, że ona nic nie wie, niczego nie podejrzewa, dokąd mnie wysłałeś?

– Synu, przysięgam, że nie.

– Czy chcesz, żebyśmy pobraли się wkrótce?

– No, tak szybko, jak tylko Collie uzna to za rozsądne. Jack, ona jest nieśmiała i osobliwa, i poważna. Jeśli kiedykolwiek zdobędziesz jej serce, będziesz bogatszy niż gdybyś posiadał całe złoto Gór Skalistych¹. Radziłbym, działaj powoli. Ale z drugiej strony, gdybyś z marszu się ożenił, to byś się ustatkował i siedział w domu.

– Ożeniony z marszu! – powtórzył ze śmiechem Jack. – To brzmi jak tytuł powieści. Ale poczekaj, niech ją najpierw zobaczę.

W tym samym czasie Columbine siedziała na najwyższej belce drewnianej zagrody, głęboko zainteresowana rozgrywającą się przed nią sceną.

¹ *Góry Skaliste* (ang. *Rocky Mountains*) – góry w zachodniej części Ameryki Północnej, wschodnia część Kordylierów.

W zagrodzie było dwóch kowbojów z osiodłanym mustangiem. Jeden z nich przyniósł płócienny worek zawierający narzędzia i podkowy. Kiedy upuścił go na ziemię z metalicznym brzękiem, mustang parsknął, podskoczył i przewrócił białkami oczu. Dobrze wiedział, co ów brzęk oznaczał.

– Panno Collie, ma panienka zamiar tak tu cały czas siedzieć? – zapytał wyższy kowboj, szczupły, zwinny i potężny facet, o czerwonej twarzy, twardej jak skała, i spokojnych, jasnych oczach.

– Pewnie, że tak, Jim – odparła niewzruszenie.

– Ale my musimy go spętać – zaprotestował kowboj.

– Tak, wiem, I zrobicie to delikatnie.

Jim podrapał się po zakurzonej głowie i spojrzał na swojego towarzysza, małego pokręconego człowieczka, przypominającego wyblakły korzeń drzewa. Wydawał się być samymi nogami.

– Słyszałeś, ofermo z Wyoming¹ – powiedział do Jima. – Te podkowy wędrują na Whanga delikatnie.

Jim wyszczerzył zęby w uśmiechu i odwrócił się, żeby przemówić do swojego mustanga.

– Whang, reguły zostały ustalone i chcemy zobaczyć, ile końskiego rozumu masz we łbie.

Na kudłatym mustangu przemowa ta nie wywarła zbyt pozytywnego wrażenia. Rzucił rozmówcy niezwykle nieufne spojrzenie.

– Jim, biorąc pod uwagę, że to zadanie jest ostatnim, przy którym panna Collie będzie kiedykolwiek jeszcze nam rozkazywać, musimy tak zrobić tak, żeby Whang nawet nie mrugnął okiem – rzekł drugi kowboj z akcentem, przeciągając samogłoski.

– Lem, dlaczego to ostatnia praca, przy której będę wami kierować, chłopcy? – spytała szybko Columbine.

Jim spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem, a Lem przybrał ten obojętny wyraz twarzy, który Columbine zawsze kojarzyła z kowbojskim łobuzerstwem.

– No, panno Collie, rozumiemy, że dzisiaj przyjechał nowy szef White Slides.

¹ *Wyoming* (ang.) – stan w zachodniej części USA, na obszarze Wielkich Równin i Gór Skalistych.

– Masz na myśli, że Jack Belllounds wrócił do domu – powiedziała Columbine. – No cóż, chłopcy, będę wami rządziła tak samo jak zawsze.

– Dla nas byłoby to jak najbardziej w porządku, ale obawiam się, że nie zostało to zapisane w grubej księdze White Slides – odpowiedział Jim.

– Buster Jack obali staruszka i poślubi ciebie – dodał Lem.

– Och, a więc to macie na myśli – odparła lekko Columbine. – Cóż, gdyby coś takiego miało miejsce, wtedy byłabym waszym szefem jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

– Nie sądzę, panno Collie, bo wtedy my nie będziemy jeździć dla White Slides – stwierdził po prostu Jim.

Columbine przeczuwała to dokładnie już na długo przed pojawieniem się pogłosek o możliwym powrocie Buster Jacka. Znała kowbojów. To jakby próbować zmienić skały na wzgórzach!

– Chłopcy, dzień, w którym opuścicie White Slides, będzie dla mnie smutnym dniem – westchnęła Columbine.

– Panno Collie, wciąż jeszcze tu jesteśmy – wtrącił Lem z niezręczną łagodnością. – Jim od dawna tęskni za Wyoming i po prostu tak gada.

Następnie kowboje zajęli się bieżącymi sprawami. Jim zdjął siodło, ale zostawił uzdę. To posunięcie oczywiście uśpiło czujność Whanga. Został ujarzmiony, by stać, gdy jego uzda zwisała i jak koń, który był dobry, gdy dano mu szansę, był posłuszny najlepiej, jak potrafił, a wszystkie cztery nogi mu się trzęsły. Jim, najwyraźniej chcąc spętać Whanga, związał jego przednie kończyny nisko, ale szybko i niespodziewanie przełożył linę przez kolana. Wtedy Whang zrozumiał, że został oszukany. Parsknął ogniste, zarżał i stając na tylnych nogach, wściekle orał powietrze przednimi kopytami. Jim ciągnął linę, podczas gdy Whang rżał głośno i walczył z przednimi kończynami wysoko w górze. Jim mocnym szarpnięciem ściągnął Whanga na ziemię i pechnął silnie, gdy tymczasem Lem, chwyciwszy za uzdę, przewrócił go na bok i usiadł mu na łbie. Wtedy Jim zsunął pętlę z jednego przedniego kopyta i przeciągnął drugą nogę w poprzek jednej z tylnych kończyn, gdzie obie zostały zabezpieczone szybko węzłem. Następnie lasso zostało owinięte i okręcone wokół przednich i tylnych kopyt. Kiedy już to

zostało zrobione, mustanga przewrócono na drugi bok, na jego wolne przednie kopyto zostało rzucone lasso i przyciągnięto je do tylnego, gdzie oba zostały zabezpieczone, podobnie jak pozostałe. To sprawiło, że mustang był bezsilny, i przystąpiono do podkuwania.

Columbine nie cierpiała bezczynnie siedzieć i patrzeć, ale zawsze pozostawała na swym stanowisku, gdy tylko nadarzyła się okazja, ponieważ wiedziała, że kowboje nie będą brutalni, gdy ona tam będzie.

– Jutro będzie wysoko podnosił nogi – powiedział Lem, wstając z głowy Whanga.

– Tak i jak muł będzie moim przyjacielem przez dwadzieścia lat, żeby tylko mieć szansę mnie kopnąć – odpowiedział Jim.

Dla Columbine najbardziej interesujący w tym zdarzeniu był moment, w którym mustang uniósł łeb, by spojrzeć na swe nogi i sprawdzić co z nimi zrobiono. W tym spojrzeniu było coś niemal ludzkiego. Wyrażało inteligencję, strach i wściekłość.

Kowboje rozwiązali mu nogi i pozwolili wstać. Whang tupał podkutymi, żelaznymi kopytami.

– To była podła sztuczka, Whang – rzekła Columbine. – Gdybyś należał do mnie, nigdy by coś takiego nie miało miejsca.

– Myślę, że możesz go mieć na żądanie – powiedział Jim, rzucając na grzbiet konia siodło. – Nikt oprócz mnie nie może na nim jeździć. Chcesz spróbować?

– Nie w tym ubraniu – odpowiedziała ze śmiechem Columbine.

– No, panno Collie, z jakiegoś powodu jest panienka dzisiaj ładnie ubrana – stwierdził Lem, kręcąc głową i zbierając narzędzia z ziemi.

– Ach, a oto i powód! – zawołał Jim niskim, ochrypłym szeptem.

Columbine usłyszała ten szept i jednocześnie szybkie kroki na żwirowej drodze. Odwróciła się gwałtownie, tracąc prawie równowagę i rozpoznała Jacka Bellloundsa. Zbliżał się chłopak, Buster Jack, którego tak dobrze pamiętała, teraz młody mężczyzna, wyższy, cięższy, starszy, z bledszą twarzą i zuchwalszym spojrzeniem. Columbine obawiała się tego spotkania, na które się przygotowywała, ale gdy do niego doszło, poczuła jedynie irytację faktem, że przyłapał ją na siedzeniu na płocie zagrody, nie bacząc na godność. Nie przyszło jej do

głowy, żeby zeskoczyć. Wyprostowała się nieznacznie, wygładziła spódnicę i czekała.

Jim wyprowadził mustanga z zagrody, a Lem podążył za nim. Wyglądało na to, że chcieli uniknąć spotkania z młodym człowiekiem, ale on im to uniemożliwił.

– Czołem, chłopcy! Jestem Jack Belllounds – odezwał się dość wyniośle, ale jego zachowanie było nonszalanckie. Nie zaproponował podania ręki.

Jim mruknął coś pod nosem, a Lem powiedział:

– Witam.

– Ten *bronc*¹ wygląda na temperamentnego – ciągnął Belllounds i nieostrożnie wyciągnął dłoń w stronę mustanga.

Whang szarpnął się tak mocno, że prawie przewrócił Jima.

– To nie *bronco*, ale cała reszta chyba się zgadza – wycedził Jim.

Obaj kowboje wydawali się powolni, swobodni. Nie byli ani obojętni, ani nie reagowali. Columbine zauważyła, jak ich bystre, spokojne spojrzenia przebiegały po Bellloundsie. Wtedy popatrzała na niego po raz drugi, mniej pośpiesznie. Nosił długie buty na wysokim obcasie z fantazyjną cholewką, dopasowane spodnie z ciemnego materiału, ciężki pas ze srebrną klamrą i białą, miękką koszulę z szerokim kołnierzykiem, rozpiętą pod szyją. Był bez kapelusza.

– Będę zarządzać White Slides – powiedział do kowbojów. – Jak się nazywacie?

Columbine chciała się roześmiać, ale stłumiła ten impuls. Co za pomysł, żeby pytać Jima o nazwisko! Nigdy nie udało jej się tego dowiedzieć.

– Nazywam się Lemuel Archibawld Billings – odparł beznamietnie Lem. Drugie imię było dodatkiem, którego nikt nigdy nie słyszał.

Następnie Belllounds skierował swe spojrzenie i kroki w stronę dziewczyny. Kowboje opuścili głowy i ruszyli dalej.

– Jest tylko jedna dziewczyna na ranczu – rzekł Belllounds. – A zatem ty musisz być Columbine.

– Tak, a ty jesteś Jack – odpowiedziała i zsunęła się z płotu. – Miło mi powitać cię w domu.

¹ *Bronc* (ang.) – *bronco*, dziki lub półdziki koń z terenów zachodniego USA.

Podawała mu rękę, a on trzymał ją, dopóki sama jej nie wyswobodziła. Na jego twarzy malowało się prawdziwe zaskoczenie i zadowolenie.

– No, za nic bym cię nie rozpoznał – powiedział, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. – To zabawne. Miałem w głowie jak najbardziej wyraźny twój obraz, ale wcale nie jesteś taka, jak sobie wyobrażałem. Columbine, którą pamiętam była chuda, blada i widać było tylko wielkie oczy.

– To było dawno temu. Siedem lat – odpowiedziała. – A ja cię poznałam. Jesteś starszy, wyższy, postawniejszy, ale to ten sam Buster Jack.

– Mam nadzieję, że nie – odparł szczerze, potępiając dawnego siebie. – Tata mnie potrzebuje. Chce, żebym przejął tu dowodzenie, żebym stał się mężczyzną. Wróciłem. Dobrze być w domu. Nigdy nie byłem zbyt wiele wart. Boże! Mam nadzieję, że znów go nie rozczaruję.

– Też mam taką nadzieję – mruknęła.

Słyszając, jak mówi szczerze i poważnie, poczuła, jak zneutralizowało to niekorzystne wrażenie, jakie odniosła. Wydawał się pełen zapału. Spojrzał na ziemię, gdzie czubkiem buta kopał małe kamyczki. Miała dobrą okazję, żeby przyjrzeć się jego twarzy i skorzystała z niej. Rzeczywiście był podobny do ojca, ze swą dużą, przystojną głową i niebieskimi oczami, być może śmielszymi ze względu na ich wyrazistość niż z powodu bezpośredniego spojrzenia czy ognia. Jego twarz była blada, padał na nią cień zmartwienia lub niezadowolenia. Wyglądało na to, że na jej powierzchnię wpływała wypierana natura. Jego usta i podbródek były niezdyscyplinowane. Columbine nie mogła sobie wyobrazić, żeby gardziła cokolwiek, co zobaczyła w rysach tego młodego mężczyzny, a jednak było w nim coś, co trzymało ją na dystans. Podjęła decyzję, że robi to, co do niej należy bezinteresownie. Znajdzie w nim to, co najlepsze, będzie go za to lubić, będzie silna, by przetrwać i pomagać. Mimo to nie miała jednak mocy, by zapanować nad swoimi niejasnymi i dziwnymi spostrzeżeniami. Dlaczego nie potrafiła znaleźć w nim tego, co lubiła w Jimie Montanie, Lemie czy Wilsonie Moorze?

– To był mój drugi tak długi pobyt poza domem – rzekł Belllounds. – Pierwszy miał miejsce, gdy pojechałem do szkoły w Kansas City. Po-

dobalo mi się. Było mi przykro, kiedy mnie wyrzucili – odesłali do domu... Ale te trzy ostatnie lata były piekłem.

Na jego twarzy widoczne było zmaganie i plamił ją cień ciemnej krwi.

– Pracowałeś? – spytała Columbine.

– Praca! To było gorsze niż praca... Pewnie, że pracowałem – odrzekł.

Bystre spojrzenie Columbine padło na jego ręce. Były równie gładkie i pozbawione blizn jak jej własne. Jaką pracę wykonywał, jeśli mówił prawdę?

– Cóż, jeśli będziesz ciężko pracować dla ojca, nauczysz się radzić sobie z kowbojami i nigdy nie wrócisz do tych złych starych nawyków...

– Masz na myśli picie i karty? Przysięgam, że zapomniałem o nich na trzy lata, aż do wczoraj. Myślę, że je pokonałem.

– W takim razie uszczęśliwisz tatę i mnie. I sam też będziesz szczęśliwy.

Columbine zadrżała na odrobinę delikatności emanującą od niego. Było w nim dobro, niezależnie od szalonych i dzikich żartów, jakie robił w dzieciństwie.

– Tata chce, żebyśmy się pobrali – rzekł nagle, z nieśmiałością i dziwnym, rozbawionym uśmiechem. – Czy to nie zabawne? Ty i ja, którzy gryźliśmy się jak pies z kotem! Pamiętasz, jak popchnąłem cię do tej starej dziury z błotem? I jak czyhałaś na mnie za domem, żeby uderzyć mnie zgniłą kapustą?

– Tak, pamiętam – odparła Columbine w zadumie.

– A to, kiedy zjadłaś moje ciasto i jak wyrównałem rachunki, drąc twoją sukienkę na strzępy, że musiałaś uciekać do domu prawie bez jednego całego szwa?

– Chyba o tym zapomniałam – odpowiedziała Columbine, rumieniąc się. – Musiałam być wtedy bardzo mała.

– Byłaś małą diabolicą... Pamiętasz, jak biłem się z Moore'em o ciebie?

Nie odpowiedziała, bo nie spodobał jej się przelotny, chwilowy wyraz jego twarzy. On pamiętał aż za dobrze.

– Załatwię to z Moore'em – kontynuował. – Poza tym nie będę go mieć na ranczu.

– Tata potrzebuje dobrych rąk do pracy – powiedziała, patrząc na zbocza porośnięte szarą szafliwą. Wzmianka o Wilsonie Moorze nasiliła jej powściągliwość. Irytacja pulsowała jej w żyłach.

– Zanim przejdziemy dalej, chciałbym coś wiedzieć. Czy Moore kiedykolwiek cię całował?

Columbine poczuła, jak to pulsowanie zmienia się w gorącą, gwałtowną falę zalewającej ją krwi. Dlaczego targały nią dziwne, nagłe i obce doznania? Dlaczego zawahała się przed tym naturalnym pytaniem Jacka Bellloundsa?

– Nie. Nigdy tego nie zrobił – odpowiedziała po chwili.

– To cholernie dziwne. Lubiałś go bardziej niż kogokolwiek innego. Z pewnością nienawidziłaś mnie... Columbine, wyrosłaś z tego?

– Tak, oczywiście – odparła – ale raczej cię nie nienawidziłam.

– Tata powiedział, że ty... jesteś gotowa wyjść za mnie. To prawda?

Columbine spuściła głowę. Jego pytanie, delikatnie wypowiedziane, nie uraziło jej, gdyż można się było tego spodziewać. Za to jego faktyczna obecność, znaczenie jego słów, obudziły w niej nieprawdopodobnego ducha protestu. Nagięła już swą wolę do żądania starego człowieka; jednakże zrozumiała teraz, że nie może zmusić swego ciała do poddania się czemuś, czego nie pragnęło.

– Tak, zgadzam się – odpowiedziała odważnie.

– Wkrótce? – rzucił, z ożywieniem w głosie.

– Gdybym postawiła na swoim, nie byłoby to... tak wcześnie – wyjąkała. Spod spuszczonych powiek dostrzegła krok, jaki zrobił w jej stronę i miała ochotę uciekać.

– Dlaczego? Tata uważa, że to byłoby dla mnie dobre – ciągnął Belllounds, teraz silnie skoncentrowany na sobie. – Nauczyłoby mnie odpowiedzialności. Myślę, że tego potrzebuję. Dlaczego nie wkrótce?

– Czy nie lepiej byłoby poczekać trochę? – zapytała. – Nie znamy się, nie mówiąc już o uczuciu...

– Columbine, jestem w tobie zakochany – oświadczył gorąco.

– Och, jak to możliwe?! – zawołała Columbine z niedowierzaniem.

– Zawsze rozmyślałem o tobie, kiedy byliśmy dziećmi – powiedział – a teraz, gdy zobaczyłem cię taką dorosłą – taką śliczną i słodką – taką zdrową, kwitnącą dziewczynę... I słowa taty, że wkrótce będziesz moją żoną, moją... no cóż, po prostu na twój widok straciłem głowę.

Columbine spojrzała na niego i przypomniało jej się, jak jako chłopiec zawsze odczuwał szybką, namiętą tęsknotę za rzeczami, które musiał mieć i miał. A jego ojciec mu nie odmawiał. Naprawdę mogło tak być, że Jack się w niej nagle zakochał.

– Czy chciałbyś wziąć mnie bez mojej... mojej miłości? – zapytała bardzo cicho. – Nie kocham cię teraz. Mogłabym kiedyś, gdybyś był dobry... gdybyś uszczęśliwił tatę... gdybyś przewyciężył...

– Wziąć cię! Wziąłbym cię, gdybyś... gdybyś mnie nienawidziła – odpowiedział w porywie namiętności.

– Powiem tacie, co czuję – odparła słabo – i... i wyjdę za ciebie, kiedy on powie.

Pocałował ją i objąłby, gdyby go nie odsunęła.

– Nie rób tego! Ktoś... ktoś zobaczy.

– Columbine, jesteśmy zaręczeni – zapewnił z zaborczym śmiechem. – Nie musisz być taka blada i przerażona. Nie zjem cię. Ale chciałbym... Och, słodka z ciebie dziewczyna! Nie chciałem wracać do domu. I spójrz, jakie mam szczęście!

Nagle się zmienił, co wydawało się znamienne dla jego charakteru, stracił zapał, porzucił na wpół zuchwałę, na wpół pewne siebie, władcze zachowanie i pokazał miększą, łagodniejszą i wrażliwszą stronę.

– Collie, nigdy nie było ze mnie nic dobrego – powiedział – ale chcę być lepszy. Udowodnię to. Wyznam wszystko. Nie poślubię cię, mając między nami jakąś tajemnicę. Możesz później się dowiedzieć i mnie znienawidzić... Czy domyślasz się, gdzie byłem przez te ostatnie trzy lata?

– Nie – odpowiedziała Columbine.

– Powiem ci teraz, ale musisz obiecać, że nigdy nikomu o tym nie powiesz ani mi tego nie wypomnisz – nigdy.

Mówił ochrypłym głosem i całkiem zbladł. Nagle Columbine przyszedł na myśl Wilson Moore! On wiedział, gdzie Jack spędził te lata.

Oparł się silnej pokusie, by jej tego nie zdradzić. Było to w nim równie szlachetne, jak niegodziwe sugestie dotyczące miejsca pobytu Jacka.

– Jack, to wspomniałomyślnie z twojej strony – odparła pośpiesznie. – Szanuję cię, lubię za to, ale nie potrzebujesz mi tego mówić. Wolałabym, żebyś tego nie robił. Liczą się dobre chęci.

Belllounds najwyraźniej doznał przejmującego szoku wywołanego zaskoczeniem, ulgą, zdumieniem i wdzięcznością. Wydawał się przemieniony w jednej chwili.

– Collie, gdybym cię wcześniej nie kochał, pokochałbym cię teraz. To było najcięższe zadanie, jakie kiedykolwiek miałem do wykonania – opowiedzieć ci moją... moją historię. Miałem szczerzy zamiar. A teraz nie będę musiał czuć twojego wstydu za mnie i ja... czuć się jak oszust albo kłamca... Jedno ci powiem – jeśli mnie pokochasz, zrobisz za mnie mężczyznę!



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!